

Przypowieść anonimowa

6 kwietnia 2020

Na wjeździe do dużego miasta, na powalonym pniu drzewa nieopodal karczmy, siedział starzec posiwiasty pracowicie rzeźbiąc coś w kawałku lipowego drewna. Na chwilę wyprostował się dając oczom i dłoniom nieco odpoczynku. Wzrokiem uchwycił nadchodzącą w jego stronę chudą, nieco przygarbioną postać z kosą na ramieniu. A był to czas morowego powietrza, kiedy ludzie odchodzili z tego świata, jakby im miejsce robić śpieszno było dla czegoś, bądź kogoś wielkiego.

– Ty tu czego? – zapytał z wyraźną zaczepką i niechęcią w głosie.

– Przyszłam zebrać sto dusz nowych – odparła markotnie nawet nie zerkając spod nasuniętego na połowę bladego oblicza kaptura, po czym nie zwalniając kroku ruszyła dalej w drogę ku miastu.

Starzec przetarł ręką czoło, przecząc jakby brakiem zgody pokręcił głową i wrócił do swej rzeźby mamrocząc coś pod nosem, co mogło być jedynie przekleństwem. Minęło zaledwie godzin parę jak od miasta pojawiła się w czerwonym blasku zachodzącego słońca jakaś mara. Otaczały ją istne roje przeźroczystych postaci. Rozpoznał rzeźbiarz w prowadzącej ten tłum poranną kostuchę i rzecze:

– Coś ty uczyniła, że z tym tłumem miasto opuszczasz? Miałaś wszakże 100 dusz uprowadzić, a tu jakieś 1000 uchodzi?

– Oj, miałam, miałam. Tak się widzisz złożyło, że jak po te 100 sięgnęłam, to reszta ze strachu pomarła. Oto i oni.

Powiedziawszy te słowa dała znak do wymarszu, albo raczej rozpląnięcia się w niemierzalnym nieba błękicie. A na ziemi tuż przy pniaku lipowym, wśród sterty świeżo spadłych strużyn, został krzyż z rozpostartą na nim figurą losu człowieka.

Opublikowała: Jola